

7. WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA W OPOLU

Po odwilży w 1956 roku przeszedłem ze szkoły do pracy w Wydziale Oświaty w Złotoryi na stanowisko zastępcy inspektora szkolnego. We wrześniu 1959 roku zostałem inspektorem szkolnym. Średnie wykształcenie pedagogiczne nie wystarczyło już do piastowania tego stanowiska. Kuratorium Okręgu Szkolnego we Wrocławiu skierowało mnie na studia zaoczne w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Opolu.

W maju 1960 roku zdałem egzamin wstępny na pierwszy rok historii. Na czterdzieści miejsc do egzaminu zgłosiło się trzydziestu siedmiu kandydatów. Wszyscy więc zdali i zostali przyjęci. W dniu rozpoczęcia zajęć, to jest 1 lipca 1960 roku, było nas już czterdzieści dwoje: dwadzieścia jeden kobiet, dwudziestu jeden mężczyzn, w tym trzydziestu dwóch nauczycieli, siedmiu pracowników wydziałów oświaty, dwóch pracowników urzędów bezpieczeństwa i naczelnik więzienia.

Sesje letnie, zimowe i wiosenne odbywały się w tych samych terminach, co w komisjach kształcenia nauczycieli. Nie było zajęć niedzielnych. Pisaliśmy natomiast dużo domowych prac kontrolnych: po dwie rocznie z każdego przedmiotu obowiązującego w danym roku studiów.

Tylko niektórzy profesorowie zwracali prace ocenione. Do egzaminów ustnych zgłaszaliśmy się po uprzednim telefonicznym lub korespondencyjnym uzgodnieniu terminu. Podczas sesji korzystaliśmy z internatu i wyżywienia oraz dobrze wyposażonej w lektury biblioteki z obszerną czytelnią.

Profesorowie traktowali nas poważnie i przychylnie. Chociaż dochodziło niekiedy do dość zabawnej sytuacji. Jeden z profesorów wygłosił cykl wykładów z metodologii historii. Mówił tak wolno, że moglibyśmy swobodnie zanotować każde słowo. Po ostatnim wykładzie podał tematy pisemnych prac kontrolnych. Student dowcipniś wybrał temat: *"Rola mas i jednostki w historii"*. Przepisał dokładnie wykład profesora na ten temat i otrzymał 3 =.

Zgłosiłem się do egzaminu z ekonomii. Pan profesor wyciągnął z biurka plik prac kontrolnych. Odszukał moją. Przeczytał jedno zdanie i wystawił ocenę: 3 -. A ja się tyle nad nią napracowałem. A pan profesor ekonomicznie załatwił sprawę. Po co czytać całą pracę skoro na trójkę z minusem wystarczy jedno zdanie.

Niektórzy profesorowie pisemnie uzasadniali wystawianie oceny prac kontrolnych. Były to krótkie, ale cenne uwagi, które pozwalały studentowi zorientować się, co wykonał prawidłowo, co spłycił, lub co pominął. Nadto pomagały mu w przygotowaniu się do egzaminu ustnego.

Pracowali też tu profesorowie, którzy rozpoczynali badanie wiadomości studenta od swobodnej kilkuminutowej rozmowy na dowolny

temat, najczęściej wynikający z ostatnich znaczących wydarzeń w Polsce i na świecie.

Tak się złożyło, że egzamin z historii Związku Radzieckiego wyznaczono mi na dzień następny po zamachu na życie Kennedy'ego. O śmierci prezydenta USA dowiedziałem się o godzinie czwartej rano w pociągu jadącym do Opola.

Pani profesor Hornowa była bardziej zdenerwowana niż ja. Dopiero po dwudziestu minutach rozmowy na temat tego wydarzenia przypomniała sobie, że przyjechałem do Opola na egzamin. Poleciała mi przedstawić plan elektryfikacji Związku Radzieckiego. Po paru minutach przerwała moją odpowiedź i ocenę pozytywną wpisała do indeksu. Taką atmosferę na egzaminie zapamiętuje się na zawsze.

Tematem mojej pracy magisterskiej były *"Stosunki gospodarcze polsko-radzieckie w latach 1922-1925"*. W czerwcu 1965 roku zgłosiłem się do swego pracodawcy, to jest do Przewodniczącego Powiatowej Rady Narodowej w Złotorzy, z prośbą o udzielenie mi jednodniowego urlopu, który zamierzałem wykorzystać na dostarczenie pracy magisterskiej na uczelnię w Opolu.

Jaki jest temat - zapytał - tej waszej pracy magisterskiej? Gdy usłyszał, że stosunki polsko-radzieckie, podniósł się z krzesła i oświadczył: *Zanim udzielię wam urlopu, najpierw ją przeczytam i sprawdzę, czy nie szkalujecie Związku Radzieckiego.* Struchlałem. Ten człowiek po

zasadniczej szkole drzewnej, uważał, że zna się na wszystkim i potrafił każde zdanie interpretować po swojemu.

Ostatecznie przekonałem go, że jutro upływa termin składania prac, a na uczelni pracują profesorowie partyjni, którzy podobnie jak on pilnują interesów Związku Radzieckiego.

Dał mi urlop, ale równocześnie pouczył, abym w przyszłości każdą pracę przedkładał mu do wglądu.

W Opolu doznałem rozczarowania. Mój profesor wyjechał na dziesięć miesięcy do Paryża. Wrócił dopiero w maju 1966 roku. Egzamin magisterski wyznaczył na dwudzieste piąte maja 1966 roku. Recenzent zażądał usunięcia z mojej pracy jednego zdania, które brzmiało: *Dotkliwy głód powodował, że robotnicy radzieccy po pracy brali worek na plecy i szli na wieś zebrać.*

Tak po dwudziestu jeden latach nauki w różnych okresach mego życia, mając lat czterdzieści siedem, zdobyłem wyższe wykształcenie.

ZAKOŃCZENIE

Dwadzieścia jeden lat uczęszczałem do szkół. Stanowią one niemal czwartą część mego życia. Trwało to równo czterdzieści lat, od 1926 do 1966 roku. Na ten czas złożyły się lata nauki, drugiej wojny światowej i osvajania się z socjalizmem.

Wystartowałem niezbyt obiecująco. Powtarzałem bowiem klasy: pierwszą, drugą i czwartą. Z roku na rok osiągałem coraz to lepsze wyniki w nauce. Zawdzięczam to mojemu korepetytorowi z Pionek, Stefanowi Zagożdżonowi, który utrwalił moją wiedzę wyniesioną ze szkoły powszechnej, pogłębił ją i nauczył mnie pracować planowo i systematycznie. Przygotował mnie zatem odpowiednio do pobierania nauki w szkole średniej.

Miałem szczęście, że trafiłem do Gimnazjum Ogólnokształcącego w Kozienicach. Z sentymentem i szacunkiem wspominam i mówię o nauczycielach tej szkoły. Nie zmuszali nas do nauki, ale stwarzali odpowiednią atmosferę i dogodne warunki do pracy. Nie było kólek zainteresowań, czyli zajęć pozalekcyjnych, a jednak ta forma oddziaływania

na młodzież istniała, mimo że nauczyciele nie pobierali z tej racji dodatkowego wynagrodzenia

Nauczyciel zarabiał wtedy tyle, ile potrzebował na zorganizowanie sobie życia wolnego od trosk dnia codziennego. Dysponując wolnym czasem i zgodnie ze swoimi zainteresowaniami angażowali się dobrowolnie do pracy dodatkowej z młodzieżą. Dobrowolnie też, bez żadnych nakazów, młodzież chętnie w nich uczestniczyła. I to właśnie dawało najlepsze efekty.

Uczniowie nieprzygotowani do nauki w szkole średniej, lub niewykazujący zainteresowania wiedzą odpadali i nie przeszkadzali innym w nauce. Nikt z tego powodu nie rozliczał nauczycieli i nie wywierał nacisku, aby zwiększali procent promowanych uczniów.

Słyszę na ulicy rozmowy naszych, cudacznie ubranych, dzisiejszych licealistek i licealistów: Uszy puchną od słów, których używają tak dziewczęta jak i chłopcy. Gdybym tak przed sześćdziesięcioma laty odezwał się w obecności moich koleżanek czy kolegów, usłyszałbym taką reprimendę, że jeszcze dzisiaj bym ją pamiętał, a koleżanki długo unikałyby mego towarzystwa.

Ówczesny uczeń z dumą nosił mundurek szkolny i tarczę nr 420. To go wyróżniało w społeczeństwie, ale też zobowiązywało do godnego postępowania. I wcale to nie ograniczało wolności osobistych ucznia, jak to sugerują dzisiejsi obrońcy swobód uczniowskich.